

# ROZDZIAŁ 1

## Rok 1933

### I

Carla wiedziała, że za chwilę między rodzicami rozpęta się burza. Gdy tylko weszła do kuchni, wrogość owionęła ją niczym przenikający do szpiku kości podmuch zimnego wiatru pędzącego ulicami Berlina tuż przed lutową zamięcią. O mało nie odwróciła się i nie wyszła.

Rodzice prawie się nie kłócili, przeważnie okazywali sobie czułość, i to aż do przesady. Carla wzdrygała się, widząc, jak całują się w obecności innych ludzi. Jej znajomi uważali, że to dziwne, bo ich rodzice tak się nie zachowywali. Zwróciła kiedyś na to uwagę matce, a ona zaśmiała się radośnie.

— Dzień po ślubie rozdzieliła nas wielka wojna. — Matka urodziła się w Anglii, choć trudno było to po niej poznać. — Ja zostałam w Londynie, a tata wrócił do Niemiec i zaciągnął się do wojska. — Carla słyszała tę opowieść wiele razy, lecz matce nigdy się ona nie nudziła. — Myśleliśmy, że zawierucha potrwa trzy miesiące, ale nie widziałam go przez pięć lat. Tęskniłam i marzyłam, żeby go dotknąć. Teraz nigdy nie mam dość.

Ojciec był tak samo niepoprawny.

— Twoja matka jest najmądrzejszą kobietą, jaką znam — oznajmił przed kilkoma dniami, gdy byli w kuchni. — Właśnie dlatego się z nią ożeniłem. Nie miało to nic wspólnego z... —

Nie dokończył, a matka uśmiechnęła się konspiracyjnie, jakby jedenastoletnia Carla nie wiedziała nic o seksie. To było żenujące.

Jednak od czasu do czasu dochodziło między nimi do kłótni. Carla widziała jej pierwsze oznaki.

Siedzieli po przeciwnych stronach kuchennego stołu, ojciec był ubrany w ciemnoszary garnitur, wykrochmaloną białą koszulę i krawat z czarnej satyny. Jak zwykle wyglądał elegancko, mimo że jego włosy się przerzedziły, a kamizelka nieco wybrzuszyła pod dewizką złotego zegarka. Jego twarz zastygła w wyrazie udawanego spokoju. Carla znała tę minę. Przybierał ją zawsze, ilekroć ktoś z rodziny zrobił coś, co go rozgniewało.

Trzymał w rękach numer „Demokraty”, tygodnika, w którym pracowała Maud. Prowadziła w nim dział plotek politycznych i dyplomatycznych, pisząc pod pseudonimem „lady Maud”. Ojciec zaczął powoli czytać:

— *Nasz nowy kanclerz, Herr Adolf Hitler, po raz pierwszy zaprezentował się korpusowi dyplomatycznemu podczas spotkania, którego gospodarzem był prezydent Hindenburg.*

Carla wiedziała, że prezydent jest głową państwa. Był wybierany przez społeczeństwo, lecz stał ponad swarami codziennej polityki, pełniąc funkcję arbitra. Premierem był kanclerz. Hitler został kanclerzem, mimo że jego partia narodowosocjalistyczna nie zdobyła większości w Reichstagu, niemieckim parlamencie. Na razie więc pozostałe partie miały możliwość ukrócenia ekscesów partii nazistowskiej.

— *Sprawiał wrażenie, jakby czuł się nieswojo we fraku* — dokończył ojciec z niesmakiem. Wydawało się, że wbrew swojej woli mówi o czymś tak odrażającym jak rysztoł.

Maud piła kawę i patrzyła przez okno na ulicę, jakby zajmował ją widok ludzi spieszących do pracy, ubranych w szale i rękawiczki. Ona także udawała spokój, ale Carla wiedziała, że tylko czeka na właściwy moment.

Służąca Ada stała w fartuchu przy blacie i kroїła ser. Postawiła przed ojcem talerzyk, on jednak nie zwrócił na to uwagi.

— *Herr Hitler był wyraźnie zauroczony panią Elisabeth Cerruti, kulturalną żoną włoskiego ambasadora. Pani ambasadorowa miała na sobie suknię z różowego aksamitu z sobolową lamówką.*

Matka Carli zawsze opisywała, w co ludzie są ubrani. Mówiła, że czytelnikom łatwiej jest ich sobie wyobrazić. Ona także ładnie się nosiła, jednak czasy były ciężkie i od lat nie kupiła sobie niczego nowego. Tego ranka włożyła sukienkę z granatowego kaszmiru, która przypuszczalnie dorównywała wiekiem Carli, mimo to wyglądała w niej ładnie i szczupło.

— *Signora Cerruti, Żydówka, jest jednocześnie gorącą zwolenniczką faszyzmu. Rozmawiali przez wiele minut. Czyżby prosiła Hitlera o to, aby nie podsycił nienawiści do Żydów?* — dokończył ojciec, rzucając gazetę na stół.

Teraz się zacznie, pomyślała Carla.

— Zdajesz sobie sprawę, że tego rodzaju spostrzeżeniami rozwścieczysz nazistów?

— Taką mam nadzieję — odparła chłodno matka Carli. — W dniu, w którym przeczytają z zadowoleniem mój artykuł, rzuć dziennikarstwo.

— Oni potrafią być niebezpieczni, kiedy się ich zdenerwuje.

W oczach matki błysnął gniew.

— Nie waż się traktować mnie z góry, Walterze. Zdaję sobie sprawę, że są niebezpieczni, i dlatego przeciwko nim występuję.

— Mimo to nie wiem, po co ich irytujesz.

— Ty atakujesz ich w Reichstagu — zauważyła matka. Ojciec Carli był deputowanym z ramienia Socjaldemokratycznej Partii Niemiec.

— Uczestniczę w racjonalnej debacie.

Jakie to charakterystyczne, pomyślała Carla. Ojciec myśli logicznie, jest ostrożny i stara się przestrzegać prawa, a matka ma swój styl i poczucie humoru. On dąży do celu ze spokojnym uporem, ona sięga po swój czar i odwagę. Nigdy się ze sobą nie zgodzą.

— Ja nie doprowadzam nazistów do furii — stwierdził ojciec.

— Być może dlatego, że niespecjalnie im szkodzisz.

Dowcipna riposta żony rozzłościła Waltera.

— A tobie się wydaje, że zaszkodzisz im żartami?! — spytał podniesionym głosem.

— Walczę z nimi kpina.

— Ona według ciebie ma zastąpić argumenty?

— Uważam, że potrzebne jest jedno i drugie.

Ojciec jeszcze bardziej się rozgniewał.

— Ależ, Maud, nie widzisz, na jakie niebezpieczeństwo narażasz siebie i swoją rodzinę?

— Wprost przeciwnie. Prawdziwe niebezpieczeństwo tkwi w tym, że przestaniemy ich wyśmiewać. Jakie będzie życie naszych dzieci, jeśli Niemcy staną się państwem faszystowskim?

Takie rozmowy przyprawiały Carłę o dreszcze. Nie mogła znieść myśli, że rodzinie coś zagraża. Życie musi się toczyć swoim torem. Marzyła, aby zawsze było tak samo: jest rano, ona siedzi z rodzicami przy sosnowym stole, Ada krząta się przy kuchni. Za chwilę Erik zbiegnie na dół, tupiąc na schodach, jak zwykle spóźniony. Dlaczego coś miałyby się zmienić?

Przez całe życie słuchała przy śniadaniu rozmów o polityce i wydawało jej się, że rozumie, do czego dążą rodzice, w jaki sposób chcą zmienić Niemcy na lepsze. Ostatnio jednak zaczęły rozmawiać inaczej. Z ich słów wynikało, że nad krajem zawisło straszliwe niebezpieczeństwo. Carla nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić, co to takiego.

— Bóg mi świadkiem, że robię wszystko, co w mojej mocy, by powstrzymać Hitlera i jego zgraję.

— Ja również, ale ty uważasz, że wybrałeś właściwy kierunek — Głos matki stał się twardszy, zabrzmiała w nim niechęć. — A mnie oskarżasz o to, że narażam rodzinę na niebezpieczeństwo.

— I mam po temu powody — odparował ojciec. Kłótnia dopiero się zaczynała, lecz po schodach zbiegł Erik, tupiąc jak koń. Wpadł do kuchni z torbą szkolną na ramieniu. Miał trzynaście lat, był dwa lata starszy od Carli, i na jego górnej wardze pojawiły się brzydkie czarne włoski. Kiedyś bez przerwy się razem bawili, lecz tamte czasy odeszły w przeszłość. Erik urosł i teraz utrzy-

mywał, że Carla jest głupia i dziecinna. W rzeczywistości była mądrzejsza od niego, wiedziała dużo rzeczy, których on nie rozumiał, znała na przykład cykle miesięczne kobiety.

— Jaką melodię grałaś? — zapytał matkę.

Rankiem często budził ich dźwięk fortepianu Steinwaya. Odziedziczyli go, podobnie jak dom, po rodzicach ojca. Mama grywała rano, mówiła, że w ciągu dnia jest zajęta, a wieczorem zbyt zmęczona. Tego ranka zagrała sonatę Mozarta, a później melodię jazzową.

— Nosi tytuł *Tiger Rag* — odparła mama. — Chcesz sera?

— Jazz to dekadencja — prychnął Erik.

— Nie pleć głupstw.

Ada podała Erikowi talerzyk z serem i plasterkami kiełbasy, a on zaczął wpychać sobie jedzenie do ust. Carla uważała, że ma okropne maniery.

Ojciec spojrział na niego surowo.

— Kto ci opowiada takie bzdury, Eriku?

— Hermann Braun mówi, że jazz to nie muzyka, tylko murzyńskie hałasy. — Hermann był najlepszym kolegą Erika. Jego ojciec należał do Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników.

— Powinien sam spróbować zagrać. — Ojciec spojrział na matkę nieco łagodniej. Uśmiechnęła się do niego. — Twoja mama przed wielu laty próbowała nauczyć mnie ragtime'u, ale nie mogłem opanować rytmu.

Matka się zaśmiała.

— Prędzej żyrafa nauczyłaby się jeździć na wrotkach.

Carla stwierdziła z ulgą, że kłótnia dobiegła końca. Poczuli się lepiej. Wzięła kromkę czarnego chleba i umoczyła w mleku.

Teraz jednak Erik otworzył nowe pole sporu.

— Murzyni to niższa rasa — stwierdził wyzywająco.

— Wątpię — odparł cierpliwie ojciec. — Gdyby murzyński chłopiec wychował się w domu pełnym książek i obrazów i chodził do drogiej szkoły, w której uczą dobrzy nauczyciele, mógłby okazać się bystrzejszy od ciebie.

— To śmieszne! — zaprotestował Erik.

— Nie mów tak do ojca, głuptasie — odezwała się łagodnie Maud, która całą złość zużyła na męża. Wydawało się, że jest rozczarowana, a zarazem zmęczona kłótnią. — Nie wiesz, o czym mówisz, podobnie jak Hermann Braun.

— Ale rasa aryjska musi być najlepsza ze wszystkich — upierał się Erik. — To my rządymy światem!

— Twój koleś naziści nie mają pojęcia o historii — odparł ojciec. — Starożytni Egipcjanie budowali piramidy, kiedy Niemcy mieszkali w jaskiniach. W średniowieczu Arabowie władali światem, muzułmanie znali algebrę, gdy niemieccy książęta nie potrafili napisać swoich nazwisk. Inteligencja nie jest związana z rasą.

— A więc z czym? — zapytała Carla.

Ojciec spojrzał na nią czule.

— To bardzo dobre pytanie, a ty jesteś mądrą dziewczynką, skoro je zadałaś. — Carla rozpromieniła się, słysząc tę pochwałę. — Cywilizacje powstają i upadają, tak było z Chińczykami, Aztekami, Rzymianami, ale tak naprawdę nikt nie wie, dlaczego tak się dzieje.

— Zjedzcie i włóżcie palta — powiedziała matka. — Robi się późno.

Ojciec wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki i uniósł brwi.

— Nie jest jeszcze późno.

— Muszę iść z Carlą do domu Francków — wyjaśniła matka. — Szkoła dla dziewcząt jest dzisiaj zamknięta, chyba naprawiają piec, więc Carla spędzi dzień z Friedą.

Frieda Franck była najlepszą koleżanką Carli, ich matki także się przyjaźniły. W młodości Monika zakochała się w ojcu Carli. Babcia Friedy wyjawiała to kiedyś, gdy wypięła za dużo wina musującego.

— Dlaczego Ada nie może zająć się Carlą? — spytał ojciec.

— Ma umówioną wizytę u lekarza.

— Ach tak.

Carla myślała, że ojciec zapyta, co dolega Adzie, ale on tylko

skinął głową, jakby znał odpowiedź, po czym schował zegarek. Carla chciała zadać to pytanie, lecz coś ją powstrzymało. Zano-  
towała sobie w pamięci, żeby później zapytać mamę. Po chwili już o tym nie pamiętała.

Ojciec wyszedł pierwszy, włożywszy długi czarny płaszcz. Erik założył czapkę, zsuwając ją tak daleko na tył głowy, jak się dało — taka moda panowała w jego towarzystwie. Potem wyszedł za ojcem.

Carla i matka pomogły Adzie sprzątnąć ze stołu. Carla kochała Adę prawie tak bardzo jak mamę. Kiedy była mała, Ada opiekowała się nią przez całe dni, aż Carla urosła i poszła do szkoły. Mama zawsze pracowała. Ada nie miała jeszcze męża. Skończyła dwadzieścia dziewięć lat i była brzydka, ale miło się uśmiechała. Latem ubiegłego roku romansowała z policjantem Paulem Huberem, lecz nie trwało to długo.

Stały z matką w holu przed lustrem i założyły nakrycia głowy. Mama się nie spieszyła. Wybrała kapelusze z granatowego filcu, okrągły, z wąskim rondem, taki, jakie nosiły wszystkie kobiety. Zsunęła go jednak nieco na bok, dzięki czemu wyglądał bardziej gustownie. Zakładając wełnianą czapkę, Carla zastanawiała się, czy będzie miała wycucie stylu matki, która przypominała boginię wojny. Miała długą szyję, wydatną brodę i kości policzkowe jak wyrzeźbione z białego marmuru. Była piękna, ale na pewno nie ładna. Carla miała takie same ciemne włosy i zielone oczy, lecz bardziej przypominała pulchną laleczkę niż posąg. Kiedyś przypadkowo podsłuchiwała rozmowę babci z mamą. „Twoje brzydkie kaczątko wyrośnie kiedyś na łabędzia, przekonasz się”, orzekła babcia. Carla wciąż czekała, aż ta przepowiednia się spełni.

Wyszły z domu, kiedy mama była gotowa. Dom stał w szeregu ładnych wysokich gmachów administracyjnych w dzielnicy Mitte, stanowiącej dawne centrum miasta. Mieszkali w niej ministrowie i wysocy oficerowie, tacy jak dziadek Carli, którzy pracowali w pobliskich gmachach.

Pojechały tramwajem Unter den Linden, a następnie na Fried-

richstrasse przesiadły się do metra i dotarły do stacji Zoo. Rodzina Francków mieszkała na południowo-zachodnim przedmieściu o nazwie Schöneberg.

Carla miała nadzieję, że zobaczy brata Friedy, Wenera, który miał czternaście lat. Podobał jej się. Czasem razem z Friedą wyobrażały sobie, że jedna wychodzi za brata drugiej, zostają sąsiadkami, a ich dzieci się ze sobą przyjaźnią. Frieda traktowała to jak zabawę, lecz Carla w skrytości ducha naprawdę tego chciała. Werner był przystojny, dojrzały i nie taki głupi jak Erik. W domku dla lalek, który Carla miała w swoim pokoju, w malutkim łóżeczku spali obok siebie mama i tata. Nosili imiona Carla i Werner, ale nikt o tym nie wiedział, nawet jej przyjaciółka.

Frieda miała jeszcze jednego brata, siedmioletniego Axla, który urodził się z rozszczepem kręgosłupa i wymagał stałej opieki medycznej. Przebywał w specjalnym szpitalu na przedmieściu Berlina.

W czasie jazdy matka była zamyślona.

— Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży — powiedziała cicho, jakby do siebie, kiedy wysiadały z pociągu.

— Oczywiście, że tak — zapewniła ją Carla. — Z Friedą będzie mi fajnie.

— Nie to miałam na myśli. Mówię o artykule, w którym napisałam o Hitlerze.

— Czy coś nam grozi? Tata miał rację?

— Twój tata przeważnie ma rację.

— Co się z nami stanie, jeśli rozzłościmy nazistów? — spytała Carla.

Matka przez dłuższą chwilę patrzyła na nią dziwnie.

— Boże drogi, na jaki świat cię sprowadziłam... — Westchnęła i zamilkła.

Po dziesięciu minutach marszu dotarły do wspaniałej willi z wielkim ogrodem. Franckowie byli bogaci. Ojciec Friedy, Ludwig, miał fabrykę produkującą odbiorniki radiowe. Na podjeździe stały dwa samochody. Duży, lśniący i czarny wóz należał do Herr Francka. Silnik zawarczał i z rury uniósł się obłok



niebieskich oparów. Szofer Ritter stał z czapką w ręku, gotowy otworzyć drzwiczki. Spodnie uniformu miał wpuszczone w cholewki butów. Ukłonił się i powiedział:

— Dzień dobry, Frau von Ulrich.

Drugi, mniejszy samochód był dwuosobowy i miał zielony kolor. Z domu wyszedł niski mężczyzna z siwą brodą, niósł skórzaną teczkę. Wsiadając do auta, dotknął palcami runda kapelusza. W ten sposób witał matkę Carli.

— Ciekawe, co doktor Rothmann robi tutaj tak wcześnie rano? — zastanawiała się Maud.

Wkrótce obie miały się tego dowiedzieć. Do drzwi podeszła wysoka kobieta z burzą rudych włosów, była to matka Friedy, Monika. Na jej pobladłej twarzy malował się niepokój. Zamiast przywitać gości, stanęła w drzwiach, jakby chciała uniemożliwić im wejście.

— Frieda zachorowała na odrę! — oznajmiła.

— Przykro mi — odparła Maud. — Jak się czuje?

— Okropnie, ma gorączkę i kaszel. Ale Rothmann mówi, że wyzdrowieje. Na razie musi przejść kwarantannę.

— Naturalnie. Ty miałaś odrę?

— Tak, kiedy byłam mała.

— Werner też, pamiętam, że dostał strasznej wysypki na całym ciele. A twój mąż?

— Ludi przeszedł odrę w dzieciństwie.

Kobiety spojrzały na Carłę, która jeszcze nie chorowała na odrę. Dziewczynka uświadomiła sobie, że nie będzie jej dane spędzić tego dnia z Friedą.

Była rozczarowana, lecz matka wyglądała na wzburzoną.

— W tym tygodniu wydajemy numer wyborczy, nie mogę nie przyjść do pracy.

Wszyscy dorośli bali się wyborów powszechnych wyznaczonych na następną niedzielę. Mama i tata Carli obawiali się, że naziści zdobędą pełnię władzy.

— Poza tym z Londynu przyjeżdża moja przyjaciółka. Może uda się namówić Waltera, żeby wziął wolny dzień i popilnował Carli?

— Może do niego zadzwoń? — zaproponowała Monika.

Niewielu ludzi miało w domach telefony, lecz Franckowie należeli do tej grupy. Carla i jej matka weszły do domu. Urządzenie stało na stoliku z cieniutkimi nóżkami umieszczonym koło drzwi. Mama Carli podniosła słuchawkę i podała numer biura ojca w Reichstagu. Gdy ją połączono, wyjaśniła mu, jaka jest sytuacja. Słuchała go przez minutę, a potem spojrzała gniewnie.

— Moja gazeta zachęci sto tysięcy czytelników, by prowadzili kampanię na rzecz Socjaldemokratycznej Partii Niemiec — przypomniała. — Naprawdę masz dzisiaj coś ważniejszego do roboty?

Carla domyślała się, jaki będzie koniec tej sprzeczki. Ojciec bardzo ją kochał, wiedziała o tym, ale w ciągu jedenastu lat ani razu nie opiekował się nią przez cały dzień. Ojcowie wszystkich koleżanek postępowali tak samo. Mężczyźni nie zajmowali się takimi sprawami, jednak mama czasem udawała, że nie zna zasad rządzących życiem kobiet.

— Wobec tego będę musiała zabrać ją ze sobą do redakcji — stwierdziła. — Aż boję się pomyśleć, co powie Jochmann. — Herr Jochmann był jej szefem. — Trudno go uznać za feministę, nawet gdy jest w najlepszym nastroju. — Odłożyła słuchawkę, nie pożegnawszy się.

Carla nie znosiła, kiedy rodzice się kłócili, a dzisiaj zdarzyło się to już po raz drugi. Nagle cały świat chwiał się w posadach. Carla o wiele bardziej bała się kłótni niż nazistów.

— No trudno, idziemy. — Mama westchnęła, kierując się do drzwi.

Nawet nie zobaczę Wenera, pomyślała ze smutkiem Carla.

Właśnie w tej chwili w holu pojawił się ojciec Friedy, rumiany jegomość z małym czarnym wąsikiem, pogodny i pełen energii. Zatrzymał się, by zamienić kilka uprzejmych zdań z Maud. Monika pomagała mu włożyć czarną pelisę z futrzanym kołnierzem.

Podszedł do schodów.

— Wernerze! — zawołał. — Bo pojedę bez ciebie! — Założył szary zamszowy kapelusz i wyszedł.

— Już jestem, już jestem! — Werner zbiegał po stopniach niczym tancerz. Był wysoki jak ojciec, ale przystojniejszy, i miał nieco za długie rudoblond włosy. Pod pachą trzymał skórzaną teczkę wypchaną książkami, w drugiej ręce niósł łyżwy i kij hokejowy. Zatrzymał się na chwilę. — Dzień dobry, Frau von Ulrich — powiedział grzecznie. — Cześć, Carla, moja siostra ma odę — dodał nieco swobodniej.

Carla poczuła, że się rumieni.

— Wiem — odparła. Chciała powiedzieć coś miłego, a zarazem zabawnego, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. — Ja nigdy na to nie chorowałam, więc nie mogę się z nią zobaczyć.

— Ja miałem odę w dzieciństwie — odrzekł, jakby to było bardzo dawno temu. — Muszę się spieszyć — dodał przeproszającym tonem.

Carla nie chciała tak szybko tracić Wernera z oczu, więc wyszła za nim. Ritter stał przy otwartych tylnych drzwiach auta.

— Co to za wóz? — zapytała. Chłopcy zawsze znali marki samochodów.

— Limuzyna Mercedes-Benz W-dziesięć.

— Musi być bardzo wygodny. — Zauważyła, że mama spogląda na nią trochę zaskoczona, a trochę rozbawiona.

— Podwieźć cię? — spytał Werner.

— Byłoby fajnie.

— Zapytam ojca. — Werner wsunął głowę do samochodu i coś powiedział.

Carla odwróciła się do mamy.

— Może pojedziemy autem!

Maud wahała się, ale tylko przez chwilę. Nie pochwałała przekonanych politycznych Herr Francka, który finansował nazistów, lecz ranek był zimny i nie zamierzała wzgardzić podwózką ciepłym samochodem.

— To bardzo miłe z twojej strony, Ludwigu.

Wsiadły do auta, z tyłu było miejsce dla czterech osób. Ritter ruszył płynnie.

— Przypuszczam, że jedziesz na Koch Strasse? — rzucił Herr Franck. Redakcje wielu gazet i wydawnictw mieściły się przy tej samej ulicy w dzielnicy Kreuzberg.

— Nie zbaczaj z drogi, proszę. Wystarczy, jeśli podrzucicie nas do Leipziger Strasse.

— Chętnie podwiózłbym cię pod same drzwi, ale pewnie byś nie chciała, żeby koledzy lewicowcy zobaczyli cię wysiadającą z samochodu spasionego plutokraty — odrzekł Franck tonem, w którym wesołość mieszała się z wrogością.

Matka Carli uśmiechnęła się czarująco.

— Nie jesteś spasiony, Ludi, tylko odrobinę pulchny.

Klepnęła kołnierz jego palta.

Herr Franck się roześmiał.

— Sam się o to prosiłem. — Napięcie zniknęło. Franck wziął tubę i wydał polecenie Ritterowi.

Carla nie posiadała się z radości, siedząc w samochodzie z Wernerem, i chciała jak najlepiej wykorzystać okazję, lecz z początku nie wiedziała, o czym z nim rozmawiać. Tak naprawdę chciała zapytać: „Kiedy będziesz starszy, zechcesz ożenić się z dziewczyną o ciemnych włosach i zielonych oczach, która jest od ciebie o trzy lata młodsza, a oprócz tego mądra?”. W końcu wskazała palcem jego łyżwy.

— Masz dzisiaj mecz?

— Nie, tylko potrenujemy po lekcjach.

— Na jakiej pozycji grasz? — Carla nie miała pojęcia o hokeju na lodzie, ale w sportach zespołowych zawsze gra się na jakiejś pozycji.

— Na prawym skrzydle.

— Czy to niebezpieczny sport?

— Nie, jeśli potrafisz szybko jeździć.

— Jestem pewna, że jeździsz wspaniale.

— Nieźle — odparł skromnie chłopiec.

Carla znów zauważyła, że mama zerka na nią z zagadkowym uśmieškciem. Czyżby odgadła, co córka czuje do Wenera? Carla poczuła, że znów się czerwieni.

Samochód zatrzymał się przed drzwiami szkoły i Werner wysiadł.

— Do widzenia wszystkim! — zawołał i wbiegł na dziedziniec.

Ritter pojechał dalej wzdłuż południowego brzegu kanału Landwehr. Carla patrzyła na barki, na których piętrzyły się stosy węgla zwieńczone czapami śniegu. Była rozczarowana. Sprytnie podsunęła Wernerowi myśl, żeby ją podwiózł, i dzięki temu mogła spędzić z nim więcej czasu, a później zmarnowała te chwile, plotąc o hokeju.

A o czym chciałyby z nim rozmawiać? Nie wiedziała.

— Maud, przeczytałem twój felieton w „Demokracie” — zagaił Herr Franck.

— Mam nadzieję, że ci się spodobał.

— Stwierdziłem z przykrością, że nie okazujesz szacunku naszemu kanclerzowi.

— Uważasz, że dziennikarze powinni pisać o politykach z szacunkiem? — spytała wesoło Maud. — To radykalny pogląd. Nazistowska prasa musiałaby wyrażać się uprzejmie o moim mężu! Wcale by im się to nie podobało.

— Nie o wszystkich politykach, to jasne — odrzekł poirytowany Franck.

Przejechali ruchliwe skrzyżowanie na Potsdamer Platz, który stanowił istny galimatias mijających się samochodów, tramwajów, powozów konnych oraz przechodniów.

— Czy to nie lepiej, gdy prasa może w taki sam sposób krytykować wszystkich? — dociekała Maud.

— Doskonały pomysł, ale wy, socjaliści, żyjecie w świecie marzeń. My, ludzie praktyczni, wiemy, że Niemcy nie mogą żyć ideami. Ludzie muszą mieć co jeść, co założyć na nogi i czym się ogrzać.

— Zgadzam się z tym, mnie też przydałoby się więcej węgla na zimę. Ale chcę, żeby Carla i Erik dorastali jako obywatele wolnego kraju.

— Przeceniasz wolność, ona nie daje szczęścia. Ludzie wolą

silne przywództwo. Ja chcę, żeby Werner, Frieda i biedny Axel wychowali się w kraju, który jest dumny, zdyscyplinowany i zjednoczony.

— Czy warunkiem jedności jest to, że młodociane bandziory w brązowych koszulach biją starych żydowskich sklepikarzy?

— Polityka jest twarda, nic się na to nie poradzi.

— Wprost przeciwnie. Ty i ja jesteśmy liderami społecznymi, Ludwigu, każde na swój sposób pełni taką funkcję. I na nas spoczywa obowiązek, by uczynić politykę mniej twardą i bezwzględną, a bardziej uczciwą i racjonalną. Jeśli tego nie zrobimy, nie wypełnimy patriotycznego obowiązku.

Herr Franck się zjeżył.

Carla nie wiedziała zbyt dużo o mężczyznach, lecz uświadomiła sobie, że nie lubią być pouczani przez kobiety. Najwidoczniej mama zgubiła gdzieś swoją delikatność. Jednak nie tylko ona. Wszyscy byli spięci i zdenerwowani, nadchodzące wybory działały tak na każdego.

Samochód dojechał do Leipziger Platz.

— Gdzie mogę cię wyrzucić? — zapytał zimno Herr Franck.

— Tutaj jest w sam raz — odparła Maud.

Franck stuknął w szklaną przegrodę. Ritter zatrzymał wóz i wysiadł żwawo, by otworzyć drzwi.

— Mam nadzieję, że Frieda szybko wyzdrowieje — rzekła Maud.

— Dziękuję.

Maud i Carla wysiadły, Ritter zamknął drzwi.

Do siedziby redakcji pozostało jeszcze kilkanaście minut marszu, lecz Maud najwyraźniej nie chciała dłużej pozostawać w aucie. Carla miała nadzieję, że mama nie pokłóci się na amen z Herr Franckiem. Utrudniłoby jej to spotkanie się z Friedą i Wernerem, a tego bardzo nie chciała.

Ruszyły rażnym krokiem.

— Postaraj się zachowywać grzecznie w redakcji — powiedziała Maud. Carla usłyszała w jej głosie błagalny ton i zawstydziała się, że sprawia matce kłopot. Postanowiła, że będzie bardzo grzeczna.

Po drodze mama pozdrowiła kilka osób. Prowadziła własny dział w gazecie, odkąd Carla sięgała pamięcią, i była znana w środowisku dziennikarskim. Wszyscy nazywali ją z angielska „lady Maud”.

W pobliżu budynku, w którym mieściła się redakcja „Demokraty”, dostrzegły znajomą sylwetkę; był to sierżant Schwab, który walczył razem z ojcem w czasie wielkiej wojny i wciąż nosił krótko obcięte włosy w surowym wojskowym stylu. Po wojnie pracował jako ogrodnik najpierw u dziadka, a później u ojca Carli, jednak ukraść pieniądze z portmonetki mamy i ojciec go wyrzucił. Teraz miał na sobie brzydki brązowy mundur szturmowców. Nie byli to żołnierze, lecz naziści, którym dano władzę, jaką mają formacje pomocnicze policji.

— Dzień dobry, Frau von Ulrich! — odezwał się głośno, jakby wcale nie wstydział się tego, że jest złodziejem. Nawet nie dotknął palcami czapki.

Maud skinęła chłodno głową i przeszła obok niego.

— Ciekawe, dlaczego on się tutaj kręci — mruknęła, gdy wchodziły do budynku.

Redakcja gazety zajmowała pierwsze piętro nowoczesnego biurowca. Carla wiedziała, że nie ucieszą się tam na widok dziecka, i miała nadzieję, że zdołają wejść z matką niezauważone. Jednak na schodach natknęły się na Herr Jochmanna. Był to tęgi mężczyzna w grubych okularach.

— Co to ma znaczyć? — zapytał z papierosem w ustach. — Nie prowadzimy tu przedszkola.

Maud nie zareagowała na ten brak uprzejmości.

— Zastanawiałam się nad spostrzeżeniem, które wygłosiłeś przedwczoraj. Stwierdziłeś, że młodzi wyobrażają sobie, iż dziennikarstwo to zawód wspaniały i pełen zaszczytów, a nie rozumieją, jak dużo ciężkiej pracy wymaga.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

— Tak powiedziałem? No cóż, taka jest prawda.

— Przyprowadziłam więc córkę, żeby zobaczyła, jak wygląda

dziennikarska rzeczywistość. Uważam, że będzie to dla niej cenna nauka, szczególnie jeśli zostanie pisarką. Opisze wizytę tutaj i przeczyta w klasie. Jestem pewna, że temu przyklańiesz.

Maud zmyśliła tę historyjkę na poczekaniu, lecz zabrzmiała ona przekonująco. Nawet Carla prawie w nią uwierzyła. Mama wreszcie przypomniała sobie, że warto być miłym dla ludzi.

— Wydawało mi się, że przyjmujesz dzisiaj ważnego gościa z Londynu — rzekł Jochmann.

— Tak, przyjeżdża Ethel Leckwith, moja stara przyjaciółka. Znała Carłę, gdy była malutka.

Wyglądało na to, że Jochmann został nieco udobruchany.

— Za pięć minut mamy zebranie redakcyjne. Kupię tylko papierosy.

— Carla ci je przyniesie — zaproponowała Maud, odwracając się do córki. — Kilka budynków dalej jest sklep tytoniowy, Herr Jochmann lubi papierosy Roth-Händle.

— To zaoszczędzi mi wycieczki — ucieszył się Jochmann, wręczając Carli monetę jednomarkową.

— Kiedy wrócisz, będę w swoim pokoju na wprost schodów, obok włącznika alarmu pożarowego — powiedziała Maud do Carli, po czym odwróciła się i konfidencjonalnym gestem wzięła Jochmanna pod rękę. — Niewykluczone, że zeszlotygodniowy numer był naszym najlepszym.

Carla wybiegła na ulicę. Matce upiekło się dzięki temu, że zastosowała swoją charakterystyczną pozę łączącą bezczelność z zalotnością. „My, kobiety, musimy wykorzystywać każdy oręż, jaki mamy”, mawiała. Nagle Carla uzmysłowiła sobie, że dzięki zastosowaniu taktyki mamy nakłoniła Herr Francka, aby je podwiózł. Może jednak jest do niej podobna? Pewnie dlatego matka skwitowała jej zachowanie uśmiechem. Może stwierdziła, że widzi siebie sprzed trzydziestu lat.

W sklepie była kolejka, jakby połowa berlińskich dziennikarzy postanowiła wybrać się na zakupy. Carla w końcu zdołała kupić paczkę papierosów i wróciła do redakcji „Demokraty”. Bez trudu znalazła alarm przeciwpożarowy, którym była duża dźwignia



przymocowana do ściany, lecz nie zastała matki w pokoju. Na pewno poszła na zebranie redakcyjne.

Carla ruszyła korytarzem. Wszystkie drzwi stały otworem, w większości pokojów nie było nikogo z wyjątkiem paru kobiet, które pracowały zapewne jako maszynistki i sekretarki. Za rogiem na tyłach gmachu znajdowało się pomieszczenie oznaczone napisem „Sala konferencyjna”. Dziewczynka usłyszała podniesione głosy dyskutujących mężczyzn. Zapukała do drzwi, lecz nikt nie otworzył. Zawahała się, a potem nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Salę wypełniał dym papierosowy, a wokół długiego stołu siedziało osiem lub dziesięć osób. Zamilkli zaskoczeni, gdy Carla podeszła do szczytu stołu i podała Jochmannowi paczkę papierosów oraz resztę. Uznała ich milczenie za znak, że źle postąpiła, wchodząc do sali.

— Dziękuję — powiedział Jochmann.

— Bardzo proszę — odparła dziewczynka i nie wiadomo dlaczego dygnęła.

Mężczyźni się roześmiali.

— To twoja nowa asystentka? — rzucił ktoś. Carla już wiedziała, że wszystko jest w porządku.

Wyszła szybko z pomieszczenia i wróciła do gabinetu matki. Nie zdejmowała palta, bo było zimno. Rozejrzała się. Na biurku stał telefon, maszyna do pisania oraz leżały sterty papieru i kalki.

Obok aparatu telefonicznego stało oprawione w ramkę zdjęcie przedstawiające Carlę, Erika i ich ojca. Zrobiono je przed paroma laty w słoneczny dzień na plaży nad jeziorem Wannsee, dwadzieścia pięć kilometrów od centrum Berlina. Tata miał na sobie szorty, wszyscy się śmiali. Działo się to, zanim Erik zaczął udawać poważnego, twardego mężczyznę.

W gabinecie było jeszcze tylko jedno zdjęcie, które wisiało na ścianie. Przedstawiało matkę Carli w towarzystwie bohatera socjaldemokratów Friedricha Eberta, pierwszego prezydenta Niemiec po zakończeniu wojny. Zostało zrobione jakieś dziesięć lat temu. Carla uśmiechnęła się na widok matki, która była ubrana

w bezkształtną sukienkę z niską talią i miała chłopięcą fryzurę. Pewnie taka była wtedy moda.

Na półkach stały książki adresowe i telefoniczne, słowniki kilkunastu języków oraz atlasy, ale nie było nic do czytania. W szufladzie leżały ołówki, kilka par nowych rękawiczek w opakowaniach, paczka podpasek i notes z nazwiskami i numerami telefonów.

Carla ustawiła datę w kalendarzu: był poniedziałek 27 lutego 1933 roku. Następnie umieściła w maszynie arkusz papieru i wystukała swoje pełne nazwisko: Heike Carla von Ulrich. Mając pięć lat, oznajmiła, że nie podoba jej się imię Heike i chce, aby wszyscy używali imienia Carla. Była zaskoczona, gdy rodzina zastosowała się do jej życzenia.

Uderzenie w klawisz maszyny powodowało, że metalowy pręt unosił się i spadał na nasączoną atramentem wstążkę, drukując na papierze jedną literę. Kiedy Carla przypadkowo uderzyła dwa klawisze, pręty się zaklinowały. Usiłowała je podważyć, ale nie mogła. Naciśnięcie następnego też nic nie dało, teraz zaklinowane były trzy klawisze. Carla jęknęła, wiedząc, że napytała sobie biedy.

Jej uwagę zwrócił jakiś hałas na ulicy i podeszła do okna. Środkiem jezdni maszerowało kilkanaście brunatnych koszul, wykrzykując hasła: „Śmierć Żydom!” i „Żydzi do piekła!”. Carla nie mogła zrozumieć, dlaczego ci ludzie tak bardzo gniewają się na Żydów, którzy nie różnią się od innych niczym oprócz religii. Zaskoczona zauważyła, że na czele bojówki maszeruje sierżant Schwab. Współczuła mu, gdy stracił posiadłość, gdyż wiedziała, że nie będzie mu łatwo znaleźć inną. W Niemczech pracy szukały miliony mężczyzn, ojciec mówił, że to krach gospodarczy. Ale mama zadała pytanie: „Jak możemy trzymać w domu kogoś, kto kradnie?”.

Nagle okrzyki się zmieniły.

— Precz z żydowskimi brukowcami! — darli się bojówkarze. Któryś wziął zamach i na drzwiach redakcji ogólnokrajowej gazety rozprysło się zgniłe warzywo. Carla zobaczyła z przerażeniem, że brunatne koszule ruszają w kierunku gmachu, w którym była.

Odsunęła się i wyglądała spoza krawędzi okna, licząc na to, że jej nie zauważą. Zatrzymali się przed budynkiem, skandując hasła. Ktoś cisnął kamieniem i trafił w okno, obok którego stała Carla. Nie rozbił szyby, ona jednak krzyknęła cicho ze strachu. Po chwili do gabinetu weszła młoda maszynistka w czerwonym berecie.

— Co się stało? — zapytała, po czym wyjrzała przez okno. — O cholera.

Brunatne koszule wtargnęły do budynku, Carla usłyszała łomot ich butów na schodach. Ogarnął ją strach, nie wiedziała, co zamierzają.

Sierżant Schwab wkroczył do gabinetu Maud i zawahał się na widok kobiety i dziewczynki. Szybko jednak zdławił wszelkie wątpliwości, chwycił maszynę do pisania i wyrzucił ją przez okno. Szyba pękła z brzękiem. Carla i maszynistka głośno krzyknęły.

Do gmachu wbiegli następni bojówkarze z hasłami na ustach. Schwab złapał maszynistkę za rękę.

— A teraz powiedz mi, gdzie jest sejf, skarbie.

— W archiwum! — odparła przerażona kobieta.

— Wskaż drogę.

— Tak jest!

Schwab wyprowadził ją z gabinetu.

Carla zaczęła płakać, lecz po chwili się opanowała.

Najchętniej ukryłaby się pod biurkiem, ale postanowiła, że nie okaże lęku. Coś kazało jej postawić się bandytom.

Ale co powinna zrobić? Postanowiła ostrzec matkę.

Zbliżyła się do drzwi i rozejrzała po korytarzu. Napastnicy w brunatnych koszulach wdzierali się do pokojów, ale jeszcze nie dotarli do końca korytarza. Carla nie wiedziała, czy pracownicy zgromadzeni w sali konferencyjnej usłyszeli hałasy. Pobiegnęła ile sił korytarzem, lecz nagle powstrzymał ją okrzyk. Zajrzawszy do jednego z pomieszczeń, zobaczyła Schwaba, który potrząsał dziewczyną w czerwonym berecie.

— Gdzie klucz?! — ryknął.

— Nie wiem, przysięgam!

Nie miał prawa traktować jej w taki sposób, Carla była oburzona.

— Zostaw ją, Schwab, ty złodzieju!

Mężczyzna spojrział na nią nienawistnym wzrokiem i nagle jej strach wzrósł dziesięciokrotnie. Mężczyzna skierował wzrok na kogoś, kto stał za plecami Carli.

— Zabierz stąd tę małą, niech mi się nie płacze pod nogami, do jasnej cholery.

Poczuła na sobie czyjeś ręce.

— Jesteś małą Żydówką? — zapytał męski głos. — Tak wyglądasz, masz czarne włosy.

— Nie jestem Żydówką! — krzyknęła przerażona Carla.

Bojówkarz powłókł ją korytarzem aż do gabinetu matki. Dziewczynka potknęła się i upadła na podłogę.

— Zostań tutaj — rozkazał i odszedł.

Carla wstała, nic jej się nie stało. Korytarz zaroił się od brunatnych koszul, nie mogła dostać się do matki, ale musiała wezwać pomoc.

Wyrzała przez rozbite okno. Na ulicy zgromadził się niewielki tłum. Wśród gapiów stało dwóch policjantów i spokojnie rozmawiało.

— Policja! Ratunku! — krzyknęła Carla, a tamci tylko się roześmiali.

To ją rozgniewało i osłabiło strach. Znów wyrzała na korytarz i jej wzrok spoczął na dźwigni alarmu przeciwpożarowego. Wyciągnęła rękę.

Nagle się zawahała. Nie wolno włączać alarmu, jeśli się nie pali. Na ścianie wisiała tabliczka z groźnie brzmiącymi ostrzeżeniami o karach.

Mimo to Carla pociągnęła dźwignię.

Przez chwilę nic się nie działo. Urządzenie mogło być zepsute.

Wtem rozległ się donośny ostry sygnał o falującym natężeniu, który wypełnił budynek.

Z sali konferencyjnej na końcu korytarza niemal natychmiast wybiegli pracownicy redakcji.

— Co tu się wyprawia, do diabła ciężkiego?! — krzyknął Jochmann.

— Ten żydowsko-komunistyczny szmatławiec obraził naszego przywódcę, więc go zamykamy — wyjaśnił jeden z brunatnych bojówkarzy.

— Wynocha z mojej redakcji!

Tamten puścił to mimo uszu i wszedł do jakiegoś pokoju. Po chwili rozległ się kobiecy krzyk i łoskot przewracanego metalowego biurka.

Jochmann zwrócił się do jednego z pracowników:

— Schneider, wezwij policję, natychmiast!

Carla wiedziała, że na nic się to nie zda. Policjanci już byli na miejscu i przyglądali się biernie.

Matka przepchnęła się przez ciżbę i pobieгла korytarzem.

— Nic ci się nie stało?! — krzyknęła, biorąc córkę w ramiona.

Carla nie chciała, by pocieszano ją jak małe dziecko. Odsuwając się od matki, odparła:

— Ze mną wszystko w porządku, nie martw się.

Maud rozejrzała się po gabinecie.

— Moja maszyna!

— Wyrzucili ją przez okno. — Carla dopiero teraz uświadomiła sobie, że nic jej nie grozi za zablokowanie mechanizmu.

— Musimy się stąd wynosić. — Maud wzięła z biurka zdjęcie i pospiesznie wyprowadziła Carłę z gabinetu.

Nikt ich nie zatrzymywał, gdy zbiegały po schodach. Postawny młody mężczyzna, który mógł być reporterem, wyprowadzał z budynku bojówkarza brunatnych koszul, trzymając jego głowę w mocnym uścisku. Carla i jej matka wyszły za nimi. Z tyłu podążał drugi bojówkarz.

Dziennikarz zbliżył się do dwóch policjantów, nie puszczając napastnika.

— Proszę aresztować tego człowieka, nakryłem go na okradaniu redakcji — powiedział. — W jego kieszeni znajdują panowie słoik kawy.

— Niech go pan puści — odrzekł starszy funkcjonariusz.

Reporter niechętnie wykonał polecenie.

Bojówkarz, który wyszedł za Maud, stanął obok kolegi.

— Jak się pan nazywa? — spytał policjant reportera.

— Jestem Rudolf Schmidt, korespondent parlamentarny tygodnika „Demokrata”.

— Aresztuję pana pod zarzutem napaści na policjantów.

— To śmieszne, ja przyłapałem tego człowieka na kradzieży!

Policjant skinął na bojówkarzy brunatnych koszul.

— Zabierzcie go na komendę.

Mężczyźni złapali Schmidta za ręce. Dziennikarz chciał stawić opór, lecz nagle zmienił zamiar.

— W następnym numerze „Demokraty” ukaże się dokładna relacja o tym incydencie! — ostrzegł.

— Nie będzie następnego numeru — warknął funkcjonariusz. — Zabrać go.

Nadjechał wóz strażacki i wyskoczyło z niego kilkunastu strażaków.

— Musimy opróżnić budynek — oznajmił szorstkim głosem dowódca.

— Wracajcie do siebie, nie ma pożaru — odparł starszy z dwóch policjantów. — Szturmowcy zamykają komunistyczne pisemko.

— To nie moja sprawa — stwierdził strażak. — Włączono alarm, muszę wyprowadzić wszystkich, łącznie ze szturmowcami. Takie jest moje zadanie. Poradzimy sobie bez waszej pomocy.

Strażacy weszli do budynku.

— Och, nie! — jęknęła Maud. Carla odwróciła się i zobaczyła matkę, która patrzyła na maszynę leżącą na ulicy. Metalowa obudowa oderwała się od korpusu, odsłaniając połączenia klawiszy z prętami. Klawiatura wygięła się, jedno zakończenie rolki odpadło, dzwoneczek sygnalizujący koniec wiersza leżał smętnie na ziemi. Maszyna do pisania nie była cennym przedmiotem, lecz Maud wyglądała tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

Brunatne koszule i pracownicy tygodnika wychodzili z gmachu prowadzeni przez strażaków. Sierżant Schwab opierał się, pokrzykując gniewnie:

— Tam się nie pali!

Strażacy wypchnęli go, nie zważając na protesty.

Jochmann podszedł do Maud.

— Nie zdążyli wyrządzić wielkich szkód, strażacy ich powstrzymali. Ten, kto włączył alarm, wyświadczył nam przysługę!

Carla, która obawiała się reprimendy za wywołanie fałszywego alarmu, teraz uświadomiła sobie, że postąpiła najlepiej, jak to było możliwe.

Maud ocierała oczy rękawem. Ten gest świadczył o tym, jak bardzo jest wstrząśnięta. Gdyby zrobiła to Carla, zaraz by ją upomniano, że trzeba używać chusteczki do nosa. Dziewczynka wzięła matkę za rękę.

— I co my teraz pocniemy? — Matka Carli nigdy nie zadawała takich pytań, zawsze umiała znaleźć wyjście z sytuacji.

Nagle Carla zauważyła, że w pobliżu stoi dwoje ludzi, i spojrzała na nich. Kobieta była mniej więcej w wieku Maud, bardzo ładna, roztaczała aurę osoby świadomej, że ma władzę. Carla skądś ją знаła, lecz nie wiedziała skąd. Stojący obok młody mężczyzna mógł być jej synem. Szczupły i niezbyt wysoki, wyglądał jak gwiazdor filmowy. Jego twarz o regularnych rysach wydawałaby się aż nazbyt urodziwa, gdyby nie nos, który był spłaszczony i zniekształcony. Oboje sprawiali wrażenie wstrząśniętych, młodzieniec zbladł z gniewu.

Kobieta odezwała się pierwsza, mówiła po angielsku:

— Cześć, Maud. — Głos wydał się Carli znajomy. — Nie poznałaś mnie? Jestem Ethel Leckwith, a to Lloyd.

## II

Lloyd Williams zapisał się w Berlinie do klubu bokserskiego, w którym za parę pensów mógł trenować przez godzinę. Klub mieścił się w robotniczej dzielnicy Wedding, na północ od centrum miasta. Ćwiczył z pałeczkami, piłką lekarską i skakanką, młócił pięściami gruszkę, a potem zakładał kask i boksował przez pięć rund na ringu. Trener znalazł mu sparingpartnera, Niemca w tym

samym wieku i o tej samej wadze. Lloyd walczył w wadze półśredniej. Młody Niemiec miał szybki, zaskakujący cios i kilka razy zdołał mocno trafić Lloyda, zanim ten wyprowadził lewy sierpowy i posłał przeciwnika na deski.

Londyński East End, gdzie Lloyd się wychował, był złą dzielnicą. Gdy miał dwanaście lat, pobito go w szkole. „Mnie też to spotkało — rzekł jego ojczym, Bernie Leckwith. — Ot, klasowy łobuz wziął się na najinteligentniejszego chłopaka w szkole”. Ojczym był Żydem, jego matka znała wyłącznie jidysz. Zaprowadził Lloyda do klubu boksinerskiego Aldgate. Ethel tego nie chciała, lecz Bernie postąpił wbrew jej woli, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło.

Lloyd nauczył się szybko poruszać i mocno uderzać, i napaści ustały. Złamano mu nos, przez co stracił nieco ze swej chłopięcej urody. Jednocześnie odkrył w sobie talent. Miał szybki refleks i instynkt bojowy, wygrywał turnieje. Trener był rozczarowany na wieść o tym, że Lloyd chce studiować w Cambridge, zamiast przejść na zawodowstwo.

Lloyd wziął prysznic, włożył garnitur i poszedł do baru chętnie odwiedzanego przez robotników. Usiadł przy stoliku i napisał do przyrodniej siostry Millie list o incydencie z brunatnymi koszulami. Millie zazdrościła mu podróży z matką, obiecał więc, że będzie często pisał i relacjonował, co się dzieje.

Poranna rozróżba go poruszyła. Polityka stanowiła część życia Lloyda: matka była deputowaną do parlamentu, ojciec pełnił funkcję radnego dzielnicy, on zaś przewodniczył londyńskiej młodzieżówce Partii Pracy. Zawsze jednak polityka ograniczała się do debatowania i głosowania. Aż do dziś. Nigdy nie widział, by umundurowane zbiry demolowały siedzibę jakiejś organizacji na oczach roześmianych gliniarzy. Tak wygląda polityka prowadzona bez białych rękawiczek, i ten obraz wstrząsnął Lloydem.

*Czy to mogłoby się zdarzyć w Londynie?* — pisał. W pierwszym odruchu pomyślał, że to wykluczone. Jednak Hitler miał sympatyków wśród brytyjskich przemysłowców oraz właścicieli gazet. Zaledwie przed kilkoma miesiącami zbuntowany parlamentarzysta,



sir Oswald Mosley, utworzył Brytyjski Związek Faszystów. Jego członkowie paradowali w uniformach przypominających mundury. Co będzie dalej?

Skończył pisać, złożył list, a potem wsiadł do wagonu metra jadącego do śródmieścia. On i matka mieli zjeść obiad z Walterem i Maud von Ulrichami. Lloyd przez całe życie słuchał opowieści o Maud. Jej przyjaźń z matką Lloyd'a była czymś niezwykłym: Ethel rozpoczęła swoje życie zawodowe jako pokojówka w wielkim domu należącym do rodziny Maud. Później obie zostały sufrażystkami i razem walczyły o prawo wyborcze dla kobiet. W czasie wojny wydawały feministyczną gazetkę „Żona Żołnierza”. Poróżniły się w kwestii taktyki i ich drogi się rozeszły.

Lloyd dobrze pamiętał wizytę von Ulrichów w Londynie w 1925 roku. Miał dziesięć lat i był zakłopotany, że nie zna niemieckiego, chociaż Erik i Carla, którzy mieli pięć lat i trzy lata, mówili w obu językach. Właśnie wtedy Ethel i Maud postanowiły puścić w niepamięć dawne nieporozumienia.

Restauracja nazywała się Bistro Robert i miała wystrój w stylu art déco. Stoły i krzesła były nieprzyjemnie kanciaste, a lampy na metalowych podstawach wieńczyły wymyślne abażury z kolorowego szkła. Uwagę Lloyd'a zwróciły wykrochmalone białe serwetki stojące na baczność obok talerzy.

Pozostała trójka uczestników posiłku już czekała. Lloyd ocenił, że panie prezentują się bardzo atrakcyjnie; obie były dystyngowane, doskonale ubrane i pewne siebie. Goście siedzący przy innych stolikach rzucali na nie pełne podziwu spojrzenia. Lloyd domyślał się, że matka sporo się nauczyła od przyjaciółki arystokratki.

Kiedy złożyli zamówienie, Ethel wyjaśniła, co skłoniło ją do podróży do Niemiec.

— W tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym straciłam miejsce w parlamencie. Mam nadzieję, że odzyskam je w następnych wyborach, ale tymczasem muszę zarabiać na życie. Na szczęście nauczyłaś mnie dziennikarskiego fachu, Maud.